

Miałem w szkole ^{jednego} przyjaciela, Rosjanina. ^{Był to /} ~~Był~~ taki chłopak starszy ode mnie o jakieś dwie klasy, ~~ixm~~ który mnie polubił, bronił ~~nie~~ ^{gdy ktoś} jak ~~ktos~~ chciał mnie bić. Ale to była ~~taka~~ ^{specyficzna} swoista przyjaźń. Pamiętam jak kiedyś umówiliśmy się ^{że pójdziemy razem} do kina i ~~cała ta~~ ^{przedem} ~~poszliśmy~~ wstąpiliśmy do niego do domu. ~~W~~ Mieszkał w ~~fakim korytarzu~~ baraku, na korytarzu wisiały głośniki z których przez cały czas ^{przynęta} ~~była~~ ^{cała} melodia "Tri tankista, tri wesołyje..." Wstąpiliśmy do niego, bo był głodny. Jego matka smażyła właśnie placki napatełni. I on je zjadał, wcale się nie przejmując że ja mdleję z głodu. Do dziś pamiętam ten zapach smażonego masła, którego ~~ja~~ przez cały ^{czas} ~~ten~~ ^(zestania) nie jadłem ani razu. ~~Głęboko nie mi się ryki plechoso chciwio~~ ~~Onel tam wtedy nie umiałem~~

Taka to była przyjaźń. Ten chłopak nazywał się Lonia Kosobokow. Był synem traktorzysty, więc z zamożnej rodziny. ~~razem~~ Do jego klasy chodził też Polak, który za wszelką cenę ^{pragnął} ~~chciał~~ się zruszyc, ^{wiele tego} ~~więc~~ ^{sam siebie} nazywał się Wołodia. Był bardzo dobry w matematyce i Lonia ~~wywyx~~ wysyłał mnie do ^{więco} ~~tego~~ chłopaka, żebym podpatrzył jak on rozwiązuje jakieś zadanie. Nie była więc to przyjaźń bezinteresowna.

Sala kinowa była w ^{je} miejscowym domu kultury. Tam właśnie razem z Lonią obejrzałem sobie film o jakimś nieokreślonym wrogu "wiązku Radzieckiego, który to wróg zostaje oczywiście ^{poimowany} ~~zwyrodniony~~. Chyba tylko raz byłem w tym kinie.

W tym pociągu do Kijów każdy siedział na tym co miał. Ktoś tam -- na worku z cukrem. Ktoś inny przesypywał z cudzego worka do swojego. Przecież tam różni ludzie jechali. Pamiętam, że te worki podciarkły później odchodami, bo tam była ubikacja.

My siedzieliśmy na najwyższej kondygnacji i dla nas, ~~dzisici~~ była to w więc mogliśmy wyglądać przez małe, zakratowane okienko. Bardziej niż głód dostrzekał nam brak ruchu, powietrza.

Władek z junackich

A Władek z junackiej szkoły kadetów, po małej maturze, mając lat osiemnaście, poszedł do skróconej podchorążówki saperów. Przeszedł całą kampanię włoską, walczył pod Bolonią, pod Monte-Cassino /dostał za tę bitwę Krzyż Walczący/ i po zakończeniu działań wojennych przygotowywał się do matury w szkole wojskowej. Wyjechał z Włoch do Anglii i tam zmarł, ~~zmarł~~ w 1946 roku, mając dwadzieścia lat. Ostatni raz widzieliśmy się w 1942 w Teheranie.

Kupitem je sobie
o miejscowym
sklepie za 4
ruble.

He
✓ o tej całej kachorowce były także rzeczy bardzo przyjemne dla mnie. Były żywy. Można się było ślizgać po ogromnych polaciach zamrożonych rolowisk, które latem tworzyły całe jeziora, głębokie po kostki. To kawałka. I my, wżerem rosyjskich dzieci, bawiliśmy się w ten sposób, że mieliśmy mu haczyki z drutu; do walonek z twardego wojłoku przywiązywaliśmy się rzemieniami żywy. Tym haczykiem zaczepiało się za cięte żarówkę i jechało się bardzo daleko, kilka kilometrów, pod wiatr. Potem tam, stawało się na ~~wym~~ lodzie, rozpinało się płaszczy i na takim śniegu się wracało.

Ja nie odpowiedzialności za innych, przecież nie odpowiedzialny za dzieci, którymi się opiekowałem w początkowym okresie. Przecież nie odpowiedzialny w tym wieku nie zdaje sobie sprawy, że go na przykład głębi głód. Może zemleć z głodu, ale nie niewiedzieć sobie, że jest głodny. Jedło się dwa razy dziennie. I pamiętam, że jak śledziły, to owszem, mógłbym tej śledziki z solą, bez tłuszczu, jakieś jakieś ~~maszynki~~ dwa, trzy, czterech talerze. Ale to nie było zdrowie takiego, na którym bym się długo zastanawiał. Przecież nie odpowiedzialny już tam miałam z głodem lewą dzysantarię i mówiło się o mnie "ten tępok Niepokolewczycki", bo wszyscy byli głodni, że się wykołosać. I też szybko o tym zapomnieli. Dziecko z wyjątkiem się chyba przyzwyczaja do nowych warunków.

× Czy myślałem wtedy, że już zawsze będę tam żył? Chyba tak, chyba tak właśnie się o tym myślało. Ze to już na zawsze. Przecież nie odpowiedzialny mówiło się o tym, że ktoś tam proponuje ^{ze skutkiem} powrót, ale ja nie traktowałem tego poważnie. Zdawałem sobie sprawę z ogromnej odległości. Przecież nie odpowiedzialny my tam jechaliśmy kilka tygodni.

Na nie odpowiedzialny nie odpowiedzialny już tam nie ma, bo przecież wojna, Niemcy... Nie pamiętam samego momentu wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej. Ale pamiętam straszliwy płacz ludzi, których bliscy odchodzili do wojska. Przecież nie odpowiedzialny Przecież nie odpowiedzialny straszliwy rozpacz tylko jednego człowieka,

galinastko
kawałek chleba, jakieś 150-200 gramów, robiliśmy w nim ~~ciasto~~
~~ciasto~~ żytkę ~~ciasto~~ dołek i tam się nam wsypywano dwie łyżki
cukru. To była nasza dzienna porcja. I ja się modliłem: "Panie
Boże, daj, żeby mi tego kawałka chleba i dwóch łyżek cukru nigdy
w życiu nie zabrakło." Taki to był raj.

My przez całe bezskanie ani razu nie jedliśmy cukru, bo ani
żadnej jego namiastki. Wygrzebywało się z ziemi korzenie lukrec-
ji i to się spało, ale to była obrzydliwa szkodyca.

Wracając do szkoły junackiej
Wracając do szkoły junackiej, ~~gdzie~~ skierowa-
no nas do baraku, a tam miejsce do spania było już tylko miejscami
pryzami, na klepisku. Dostaliśmy dwa kocy, na jednym się leżało,
a drugim się przykrywało. Ale jak się leżało na tym klepisku to
było widać gwiazdy. Widać jak padał deszcz to się spało w błocie.
A tuż obok ~~cały~~ cały czas marli ludzie. Tam była epidemia tyfusu.
I ja po prostu "pekłem", nie x wytrzymałem tego i postanowiłem
ucieć. Mimo że dowódca, który był jak się okazało kolegą mojego
ojca, namawiał mnie do zostania (obrzępył mundur) nie zgodziłem się i po kilku tygo-
niowym tam pobycie wróciłem do matki i Niedźkiego potem wyjechaliś-
my z ZSRR już jako cywile. Po matce też się musiała zdemobilizować
ze względu na moją niechęć do wojska.

tu o baraku
(Rank Casin)

mój brat
A Władzek z junackiej szkoły kadetów, po małej maturze, mając
lat osiemnaście, poszedł do skróconej podchorążówki saperów. Prze-
szedł całą kampanię włoską, walczył pod Bolonią, pod Monte- Cassi-
no /dostał za tę bitwę Krzyż Walczących/ i po zakończeniu działań
wojennych przygotowywał się do matury w szkole wojskowej. Wyjechał
z Włoch do Anglii i tam zmarł, ~~zmarł~~ w 1946 roku, mając
dwadzieścia lat. Ostatni raz widzieliśmy się w 1942 w Teheranie.

Wracając do tej
szkoły junackiej

Sytuacja ~~w tej szkole~~ była taka, że jak przyjechał ~~Anders~~
Anders, nie chcieli zmartwić go naszym wyładem, więc wynalili nas
w pole. Wynalili nas pod pozorem ćwiczeń. Oficer z nami Był
Włóczył wypchnął nas nad jakąś rzeczka i w pewnym momencie zakomenderował:
"Chłopaki rozejść się, usiądźcie sobie tu i siedźcie." nie wiedzieli
W pewnym momencie brat zobaczył mój straszny wygląd i zapytał
co z nami zrobić, nie mieli ~~brat~~ żadnych możliwości, żeby
się zająć tą masą dzieci, wśród których było mnóstwo wynędzniałych
sierot.

Ja miałem już wtedy 18 lat.

Do kraju wróciliśmy w 1947, akurat na proces ojca. Prosto z
pociągu trafiliśmy na nową prokuratora, który się domagał dla
ojca ~~brat~~ brat śmierci, z czterech paragrafów. brat
geniali się od nas jak od zapowietrzonych.

Miałem w szkole przyjaciela, Rosjanina. Był taki chłopak starszy ode mnie o jakieś dwie klasy, ~~ixm~~ który mnie polubił, bronił mnie jak ktoś chciał mnie bić. Ale to była taka swoista przyjaźń. Pamiętam jak kiedyś umówiliśmy się do kina i zanim tam poszliśmy wstąpiliśmy do niego do domu. On mieszkał w takim ~~korytarzu~~ baraku, na korytarzu wisiały głośniki z których przez cały czas płynęła melodia "Tri tankista, tri wiesiołyje..." Wstąpiliśmy do niego, bo był głodny. Jego matka smażyła właśnie placki napatelni. I on je zjadał wcale się nie przejmując że ja mdleję z głodu. Do dziś pamiętam ten zapach smażonego masła, którego ja przez cały ten ~~czas~~ nie jadłem ani razu.

Taka to była przyjaźń. Ten chłopak nazywał się Lonia Kosobkow. Był synem traktorzysty, więc z zamożnej rodziny. ~~xxxx~~ Do jego klasy chodził też Polak, który za wszelką cenę chciał się zruszczyć, więc nazywał się Wołodzia. Był bardzo dobry w matematyce i Lonia ~~wyxxx~~ wysyłał mnie do tego chłopaka, żebym podpatrzył jak on rozwiązuje jakieś zadanie. Nie była więc to przyjaźń bezinteresowna.

Sal kinowa była w miejscowym domu kultury. Tam właśnie razem z Lonią obejrzałem sobie film o jakimś nieokreślonym wrogu 4wiązku Radzieckiego, który to wróg zostaje oczywiście zwyciężony. Chyba tylko raz byłem w tym kinie.

Ja byłem najstarszy z dzieci. Do moich obowiązków należała opieka nad młodszymi i przygotowanie posiłków dla tych, którzy wracali z pracy, a przede wszystkim przygotowywanie opału. Opał to było perekatypole i piołun. Trzeba było rwać te wyschnięte badyle i ~~xxx~~ tym się paliło. A to się w niego paliło. Przynosiło się całe zwalę tego zielska i nie można było nawet zacierki na tym ugotować. A ja musiałem ugotować zacierkę dla tych, którzy wracali z pracy. To były moje obowiązki w ciągu tego pierwszego roku, kiedy jeszcze nie chodziłem tam do szkoły

Kiedy zacząłem się uczyć nie miałem już czasu na te obowiązki, bo musiałem się ryć ruskiego. Przecież w ogóle nie znałem tego języka.

Do szkoły chodzić musiałem, bo pewnego dnia przyjechał do nas jakiś facet na koniu, z nahają i powiedział, że mamy obowiązek się uczyć, tak jak wszystkie dzieci w tym kraju. Więc wszystkie polskie dzieci musiały chodzić do szkoły i wszystkie były zakwalifikowane o klasę niżej ze względu na nieznajomość języka i wysoki poziom lekcji matematyki. Ja byłem jedynym Polakiem w czwartej klasie. Pamiętam jak mówiłem wiersz o kuku i lisie i zamiast powiedzieć "angielskiej" /anielski/ gołosok powiedziałem angielskiej czyli angielski gołosok. Cała klasa ryczała wtedy ze śmiechu.

Nauczyciele traktowali mnie przyzwoicie. Wychowawczyni, ładna i miła dziewczyna, usiłowała mnie nawet jakoś zdobyć dla tego wszystkiego. Pamiętam jak po Nowym Roku rozdawano dzieciom w szkole jakieś cukierki, wtedy ona mnie wezwała i powiedziała: "Niepokliuczykij, тебе сам Сталин конфеты прислал" i dostałem garść lepkich, kolorowych kulek z krochmalu.

Zimą odbywały się manewry dla całej szkoły. Starsi chłopcy robili sobie drewniane karabiny i potem ganiano ich po stepie. Była jakaś wojna, zabawa w Budionnego, biegi na nartach. Tam się w ogóle ciągle organizowało jakieś biegi dla uczniów. Ponieważ był to sowchoz, więc na przykład na wiosnę ustawiano całą szkołę takim ogromnym szpalarem na tych bezkresnych polach i na gwizdek trzeba było biec i na gwizdek wyrwać osty, z pszenicy.

A zimą wysyłali nas na "śniegozadierżanije", to znaczy na zatrzymywanie śniegu. Trzeba było wycinać kwadraty śniegu i ustawiać z nich wały, żeby nawiewany śnieg się na nich zatrzymywał.

To był ogromny sowchoz, a w nim różne urzędy, dom partii, dom kultury, szkoła w murowanym budynku. To było takie małe miasteczko przy stacji kolejowej. Nazywało się Kijaży. Natomiast my mieszkaliśmy w Machorowce. To była wioska, "pasiożok". Trudno to nawet nazwać wsią, bo nie było tam żadnych ogródków, niczego się nie uprawiało. Tylko stały chaty.

Z budowli, które były na terenie sowchozu upamiętnił mi się jeszcze "kotłowan", taki zbiornik nawodę, w którym latem kąpały się wszystkie dzieci.

Ta szkoła to była dziesięciolatka. Ja chodziłem do niej przez rok i skończyłem ~~jak~~ tę czwartą klasę jako "otlicznik", bo w końcu się nauczyłem tego rosyjskiego. Ale i tak wszystko to pozostało dla mnie obce. Swojskość odczuwało się tylko w rodzinie. Nie było czasu na jakies życie towarzyskie z innymi polskimi rodzicami. Każdy siedział w swojej chacie. Matki pracowały od świtu do nocy

Moji koledzy ze szkoły byli bardzo ciekawi jak nam się żyło w Polsce. Rozmawialiśmy o tym na przerwach. Zaczynało się najczęściej od tego, że "u was to pany, które się znęcają okrutnie nad biednym ludem itd/, ale to były takie zagrywki, żeby ze mnie wydobyć jak to było naprawdę. I jak opowiadałem, że w sklepach było mało, że wszystko do jedzenia można było kupić, to jeszcze jakoś znosili.

Ale jak powiedziałem, że można byżok kupić buty, tyle ile się chciało i że można było iść do szewca i zamówić sobie buty, to już w takie żgarstwo to nie uwierzyli i dostało mi się wtedy od nich. Zbili mnie, oburzeni, że tak żgam.

Najważniejsza była praca przy omłotach. Ludzie szyli sobie kieszenie aż do pięt i odpoczywając na hałdzie zboża napychali te kieszenie, a potem wracali do domu na sztywnych nogach. Ale to nie koniec. Potem trzeba było pożyczyc żarna. A żarna to był kryminał. Za posiadanie albo używanie żaren można było sobie długo posiedzieć. Pożyczano się je oczywiście od miejscowych. Dwa kamienie z kołkiem i to się tak ręką kręciło. Ile się człowiek napracował na tych żarnach! Potem, gdy poszła armia Andersa ^{chłopi} nie chcieli nam ^{nie} niczego pożyczyć. W sowchozie był także sklep. Pamiętam jak kiedyś powiedziano, że przywieziono cukierki do sklepu. Jakoś się tam dostałem, cukierków nie kupiłem, ale byłem tam chyba ze dwie godziny i nie dostawałem nogami do ziemi, taki był tłok. Ale to było tylko jeden, jedyny raz. Pamiętam też, że raz byłem w restauracji. Poszedłem kiedyś z moją matką zbierać pokrzywy. I w pokrzywie mama wypatrzyła leżące tam pięć rubli i naprowadziła mnie tak, że to ja je znalazłem. Strasznie się ucieszyłem, choć zdawałem sobie sprawę, że to matka mnie "napuściła".

Mama kazała mi pójść do restauracji i coś sobie zjeść. Można było za to zjeść kotlet koński, mielony, z czymś tam, nie pamiętam już z czym, i można było jeszcze do tego kupić sto gram chleba, którego normalnie nie można było kupić. Jak tam wszedłem, od razu zobaczyłem jak to wszyscy robią. Każdy ~~zawiał~~ kotlet / to było jedyne danie/. Wszyscy najpierw smarowali ten chleb stojącą na stole musztardą i tak go zjadali ze smakiem. Więc ja też tak zrobiłem. Po ten zjadłem kotlet, jak głupi wróciłem do domu i pochwaliłem się. A ja jadłem kotlet! I wtedy dostałem cięgi od ciotki. "My tu siedziemy głodni, a ty się objadałeś."

szedł do Rosjan,
żeby być Niemców.
A oni one cięgi
wymyśliły na tych
Niemców wzięli

nie chcieli nam niczego pożyczyć. Za to, że przyjechali

W tej całej Machorowce były także rzeczy bardzo przyjemne dla mnie. Były łyżwy. Można się było ślizgać po ogromnych połaciach zamrzniętych rozlewisk, które latem tworzyły całe jeziora, głębokie po kostki. To zamrzęło. I my, wzorem rosyjskich dzieci, bawiliśmy się w ten sposób, że mieliśmy takie haczyki z drutu; do walonek z twardego wołoku przywiązywaliśmy się rzemieniami łyżwy. Tym haczykiem zaczepiało się za ci żarówkę i jechało się bardzo daleko, kilka kilometrów, pod wiatr. Potem tam, stawało się na tym lodzie, rozpinano się płaszcz i na takim żaglu się wracało.

Człowiek w moim wieku nie miał odpowiedzialności za innych choć czasem i ja byłem odpowiedzialny za dzieci, którymi się opiekowałem, w początkowym okresie. Poza tym człowiek w tym wieku nie zdaje sobie sprawy, że go na przykład gnębi głód. Może zemdleć z głodu, ale nie uświadamia sobie, że jest głodny. Jadło się dwa razy dziennie. I pamiętam, że jak pedliśmy, to owszem, mógłbym tej zacierki z sol., bez tłuszczu zjeść jeszcze ~~dwadzieścia~~ dwa, trzy, cztery talerze. Ale to nie była znów nic takiego, nad czym bym się długo zastanawiał. A przecież ja już tam miałem z głodu krwawą dezynтеріę i mówiło się o mnie "ten trupek Niepokólczycki", bo wszyscy byli pewni, że ja się wykończę. I też szybko o tym zapomniałem. Dziecko szybko się chyba przyzwyczaja do nowych warunków.

Czy myślałem wtedy, że już zawsze będę tam żył? Chyba tak, chyba tak właśnie się o tym myślało. Ze to już na zawsze. Czasami mówiło się o tym, że ktoś tam proponuje powrót, ale ja nie traktowałem tego poważnie. Zdawałem sobie sprawę z tej ogromnej odległości. Przecież my tam jechaliśmy kilka tygodni. No i że tej Polski już tam nie ma, bo przecież wojna, Niemcy...

Nie pamiętam samego momentu wybuchu wojny radziecko-niemieckiej. Ale pamiętam straszliwy płacz ludzi, których bliscy odchodzili do wojska. Straszliwy płacz żon, matek, dzieci. I pamiętam też straszliwą rozpacz żony jednego Rosjanina,

kawałek chleba, jakies 150- 200 gramów, robiliśmy w nim przy pomocy łyżki mały dołek i tam się nam wsypywano dwie łyżki cukru. To była nasza dzienna porcja. I ja się modliłem: "Panie Boże, daj, żeby mi tego kawałka chleba i dwóch łyżek cukru nigdy w życiu nie zabrakło." Taki to był raj.

My przez całe zesłanie ani razu nie jedliśmy cukru. Był ani żadnej jego namiastki. Wygrzebywało się z ziemi korzenie lukrecji i to się ssało, ale to była obrzydliwa słodycz.

Wracając do szkoły junaków. Kiedy tam przyjechaliśmy skierowano nas do baraku, a tam miejsce do spania było już tylko między pryzami, na klepisku. Dostaliśmy dwa koce, na jednym się leżało, a drugim się przykrywało. Ale jak się leżało na tym klepisku to było widać gwiazdy. Więc jak padał deszcz to się spało w błocie. A tuż obok ~~szkół~~ cały czas marli ludzie. Tam była epidemia tyfusu. I ja po prostu "pekłem", nie wytrzymałem tego i postanowiłem uciec. Mimo że dowódca, który był jak się okazało kolegą mojego ojca, namawiał mnie do zostania, nie zgodziłem się i po kilku tygodniowym tam pobycie wróciłem do matki i niedługo potem wyjechaliśmy z ZsRR już jako cywile. Bo matka też się musiała zdemobilizować ze względu na moją niechęć do wojska.

Sytuacja w tej szkole junaków była taka, że jak przyjechał tam Anders, nie chcieli zmartwić go naszym wyglądem, więc wygnali nas w pole. Wygnali nas pod pozorem ćwiczeń. Jakiś oficer z nami był wypchnął nas nad jakąś rzeczka i w pewnym momencie zekomenderował "Chłopaki rozejście się, usiądźcie sobie tu i siedźcie." Nie wiedział.

W pewnym momencie brat zobaczył mój straszny wygląd i zaprowadził mnie do lekarza

co z nami zrobić, nie mieli w sumie żadnych możliwości, żeby się zająć tą masą dzieci, wśród których było mnóstwo wynędzniałych sierot.

Do kraju wróciliśmy w 1947, akurat na proces ojca. Prosto z pociągu trafiliśmy na mowę prokuratora, który się domagał dla ojca czterokrotnej kary śmierci, z czterech paragrafów. Ludzie odginali się od nas jak od zapowietrzonych.

O procesie ojca dowiedzieliśmy się z gazety "Polak w Afryce" i zaraz zgłosiliśmy się do pierwszego transportu, który wracał do Polski.

Tę gazetę ukrywano zresztą przed nami przez kilka dni, żebyśmy się nie dowiedzieli.

Przez miesiąc czekaliśmy w Mombassie, aż jakiś statek popłynie do Europy. Potem płynęliśmy kilkanaście dni do Genui, a stamtąd pociągiem do Polski. Pierwsza stacja w kraju to były Zebrzydowice. Tam był taki niemły dla nas moment, bo akurat wracała skądś ekipa sportowców chyba. Pamiętam taką ciemną stację i jak ten pociąg z grupą młodzieży przyjechał, to nagle stacja się rozżarzyła światłami i przez głośniki poszły "Czerwone naki pod Monte-Casino i pary zaczęły tańczyć na peronie. Rozplakaliśmy się wtedy.

Trudno powiedzieć, który był moment był najtrudniejszy. Ja mając jedenaście lat miałem tam pod opieką czworo małych dzieci, w tym najmłodszego Marianka, którego trzeba było przewijać, karmić. Musiałem lecieć w step, łapać perekatypole i piokun na opał. Pamiętam jak wsunąłem Mariankowi w usta butelkę, poleciałem po to perekatypole, przychodzę, patrzę, a on nie wypik mleka. Wjąłem mu tę butelkę, bo mleko już ostygło, a jemu tak szczyka lata. To już były przedśmiertne drgawki. Wtedy przysza akurat mama i mówię jej: "mamo, on tak ~~nie~~ jakoś dziwnie robił broda, ale już nie robi." I wtedy mama się rozplakała, bo on już nie żył. Imię tego Marianka było straszliwie żal. Przecież ja się nim najwięcej zajmowałem. "eż w sumie zagłodzone dziecko.

I | 561

© ARCHIWUM WSKAZOWNIE

Wacław Niepokólczycki
ur. 14 maja 1929 roku

Byłem najstarszym dzieckiem w naszej chacie w Machorowce. Do moich obowiązków należała opieka nad młodszymi i przygotowywani. posiłków, a przede wszystkim zbieranie opału. Opał to było suche zielsko "perekatypole" i piołun. To się w mlg paliło. Przynosiło się całe zwały wyschniętych badyli i nie można było nawet zacierki na tym ugotować. A ja musiałem ugotować zacierkę dla tych, którzy wracali z pracy. To były moje obowiązki w ciągu tego pierwszego roku, kiedy jeszcze nie chodziłem tam do szkoły.

Pewnego dnia przyjechał do nas mężczyzna na koniu, z nahają i powiedział, że mamy obowiązek się uczyć, tak jak wszystkie dzieci w tym kraju. Więc wszystkie polskie dzieci musiały chodzić do szkoły i wszystkie były zakwalifikowane o klasę niżej ze względu na nieznaną języka i wysoki poziom tamtejszych lekcji matematyki.

Kiedy zacząłem się uczyć, nie miałem już na nic innego czasu. Przecież ja w ogóle nie znałem rosyjskiego, więc musiałem solidnie wkuwać.

Szkola to było dla mnie podwójne zesłanie, bo musiałem rozstawać się z najbliższymi i wchodzić zupełnie w obce środowisko.

Byłem jedynym Polakiem w czwartej klasie. Pamiętam jak mówiłem bajkę o kuku i lisie i zamiast powiedzieć "angielskij (anielski) gołosok" powiedziałem "angliskij (czyli angielski) gołosok". Cała klasa pękała wtedy ze śmiechu.

Nauczyciele traktowali mnie przyzwoicie. Wychowawczyni, ładna i miła dziewczyna, usiłowała mnie nawet jakoś "zdobyć" dla tego wszystkiego. Pamiętam jak po Nowym Roku rozdawano dzieciom w szkole cukierki. wtedy ona mnie wezwała i powiedziała: "Niepokliuczyckij, Ciebie sam tawariszcz Stalin konfiety prosił" i dostałem garść lepkich, kolorowych kulek z krochmalu.

Zimą odbywały się manewry dla całej szkoły. Chłopcy już od początku roku szkolnego robili sobie drewniane karabiny i potem ganiano ich po stepie. Była zabawa w wojnę, armię Budionnego, biegi na nartach. Tam się w ogóle ciągle organizowało jakieś biegi dla uczniów. Ponieważ był to sowchoz, więc na przykład na wiosnę ustawiano całą szkołę ogromnym szpalerem na tych bezkresnych polach, trzeba było biec i na gwizdek wrywać osty z pszenicy.

A zimą wysyłali nas na "śniegozadierżanie", to znaczy na zatrzymywanie śniegu. Trzeba było wycinać kwadraty śniegu i ustawiać z nich wały, żeby nawiewany śnieg na nich się zatrzymywał.

Ta szkoła to była dziesięciolatka. Chodziłem do niej tylko przez rok i skończyłem czwartą klasę jako "otlicznik", bo w końcu nauczyłem się rosyjskiego. Ale i tak wszystko to pozostało dla mnie obce. Swojskość odczuwało się tylko w rodzinie. Nie było czasu na jakieś życie towarzyskie z innymi polskimi rodzinami. Starsi pracowali od świtu do nocy za nędzną zapłatą, a dzieci siedziały w swojej chacie.

Moi koledzy ze szkoły byli bardzo ciekawi jak nam się żyło w Polsce przed wojną. Rozmawialiśmy o tym na przerwach. Zaczynało się najczęściej od tego, że "u was to pany, które się znęcają okrutnie nad biednym ludem" itd., ale to były tylko zagrywki, żeby ze mnie wydobyć jak było naprawdę. I jak opowiadałem, że w sklepach było

masło, że wszystko do jedzenia można było kupić, jeszcze jakoś to znosili. Ale jak powiedziałem, że można było kupić buty, tyle ile się chciało i że można było iść do szewca i zamówić sobie buty, to już w takie łgarstwo nie uwierzyli. Zbili mnie, oburzeni, że tak łżę.

Miałem w szkole jednego przyjaciela, Rosjanina. Był to chłopak starszy ode mnie o jakieś dwie klasy, który mnie polubił, bronił gdy ktoś chciał mnie bić. Ale to była specyficzna przyjaźń. Pamiętam jak kiedyś umówiliśmy się, że pójdziemy razem do kina i przedtem wstąpiliśmy do niego do domu. Mieszkał w baraku, na korytarzu wisiały głośniki, z których przez cały czas płynęła melodia "Tri tankista, tri wiesiołyje...". Wstąpiliśmy do niego, bo był głodny. Jego matka smażyła właśnie placki na patelni. I on je zjadał, wcale się nie przejmując że ja mdleję z głodu. Do dziś pamiętam ten zapach smażonego masła, którego przez cały czas zesłania nie jadłem ani razu.

Taka to była przyjaźń. Ten chłopak nazywał się Lonia Kosobokow. Był synem traktorzysty, więc z zamożnej rodziny. Do jego klasy chodził też Polak, który za wszelką cenę pragnął się zruszczyć, wobec tego sam siebie nazywał Wołodia. Był bardzo dobry w matematyce i Lonia wysyłał mnie do niego, żebym podpatrzył jak on rozwiązuje jakieś zadanie. Nie była to więc przyjaźń bezinteresowna.

Sala kinowa była w miejscowym domu kultury. Tam właśnie razem z Lonią obejrzałem sobie film o jakimś nieokreślonym wrogu Związku Radzieckiego, który to wróg zostaje oczywiście pokonany. Chyba tylko raz byłem w kinie.

Trudno powiedzieć, który moment był dla mnie najtrudniejszy. Mając jedenaście lat miałem pod opieką czworo małych dzieci, w tym najmłodszego - Marianka, którego trzeba było przewijać, karmić. A jednocześnie musiałem lecieć na step, łapać perekatypole i piołun na opał. Pamiętam jak wsunąłem Mariankowi w usta butelkę, poleciałem po perekatypole, przychodzę, patrzę, a on leży, ale mleka nie wypił. Wziąłem butelkę, bo mleko ostygło, a jemu tak szczeka lata. To już były przedśmiertne drgawki. Wtedy przyszła akurat mama i mówię jej: "Mamo, on tak jakoś dziwnie robił brodą, ale już nie robi." I wtedy mama się rozplakała, bo on już nie żył. Mnie tego Marianka było straszliwie żal, bo ja się nim najwięcej zajmowałem.

Kijały to był ogromny sowchoz, a w nim różne urzędy, dom partii, dom kultury, szkoła w murowanym budynku. Tworzyło to takie małe miasteczko przy stacji kolejowej. Natomiast my mieszkaliśmy w Machorowce. To była wioska, "pasiołok". Trudno to nawet nazwać wsią, bo nie było tam żadnych ogródków, niczego się nie uprawiało. Tylko stały chaty.

Z budowli, które były na terenie sowchozu upamiętnił mi się jeszcze "kotłowan", taki zbiornik na wodę, w którym latem kąpały się wszystkie dzieci.

W sowchozie był sklep. Pamiętam jak kiedyś powiedziano, że przywieziono tam cukierki. Jakoś się do tego sklepu dostałem, cukierków nie kupiłem, ale byłem tam, ze dwie godziny i nie dotykałem nogami ziemi, taki tam był tłok. O cukierkach słyszałem tylko jeden, jedyny raz. Pamiętam też, że raz byłem w restauracji. Poszedłem kiedyś z moją matką zbierać młode pokrzywy. W pokrzywie mama wypatrzyła pięć rubli i naprowadziła mnie tak, że ja je znalazłem. Strasznie się ucieszyłem, choć zdawałem sobie sprawę, że to matka mnie "napuściła".

Mama kazała mi pójść do restauracji i coś sobie zjeść. Można było za to zjeść kotlet koński, mielony, z czymś tam, nie pamiętam już z czym, i można było jeszcze do tego kupić sto gramów chleba, który normalnie był nie do kupienia. Gdy tam wszedłem, od razu zobaczyłem, że wszyscy robią to samo. Każdy kupował tu 100 gramów chleba i czekał na kotlet. To było jedyne danie jakie tam podawano. Wszyscy najpierw smarowali chleb stojącą na stole musztardą, a potem zjadali go ze smakiem. Więc ja też tak zrobiłem. Potem zjadłem kotlet, jak głupi wróciłem do domu i pochwaliłem się: "A ja jadłem kotlet!" I wtedy dostałem cięgi od ciotki. "My tu siedzimy głodni, a ty się objadasz."

Najważniejsza dla przetrwania była praca przy omiotach. Ludzie

szyli sobie w waciakach kieszenie aż do pięt, a potem wracali do domu na sztywnych nogach. Ale to nie koniec. Potem trzeba było pożycząć żarna. A żarna to był kryminał. Za posiadanie albo używanie żaren można było sobie długo posiedzieć. Pożyczają się je oczywiście od miejscowych. Ile się człowiek napracował przy tych żarnach!

Potem, gdy powstała armia Andersa chłopci nie chcieli nam już niczego pożyczać. Za to, że przyłączyliśmy się do Rosjan, żeby bić Niemców. A oni przecież wszyscy na tych Niemców czekali.

Ale w tej całej Machorowce były także rzeczy dla mnie bardzo przyjemne. Były łyżwy. Kupiłem je sobie w miejscowym sklepiku za 4 ruble. Można się było ślizgać po ogromnych połaciach zamarzniętych rozlewisk, które latem tworzyły całe jeziora, głębokie po kostki. To zamarzało. I my, wzorem rosyjskich dzieci, bawiliśmy się w ten sposób, że mieliśmy haczyki z drutu; do walonek z twardego wołoku przywiązywało się rzemieniami łyżwy. Tym haczykiem zaczepiało się za ciężarówkę i jechało się bardzo daleko, kilka kilometrów, pod wiatr. Potem tam, stawało się na lodzie, rozpinano płaszcz i na takim żaglu się wracało.

Ja nie czułem ciężaru odpowiedzialności za innych, choć byłem przecież odpowiedzialny za dzieci, którymi się opiekowałem w początkowym okresie. Człowiek w tym wieku nie zdaje sobie sprawy, że go na przykład gnębi głód. Może zemdłeć z głodu, ale nie uświadamia sobie, że jest głodny. Jadło się dwa razy dziennie. I pamiętam, że jak jedliśmy, to owszem, mógłbym tej zacierki z solą, bez tłuszczu, zjeść jeszcze dwa, trzy, cztery talerze. Ale to nie było znowu nic takiego, nad czym bym się długo zastanawiał. A przecież ja miałem tam już z głodu krwawą dezynтеріę i mówiło się o mnie "ten trupek Niepokólczycki", bo wszyscy byli pewni, że się wykończę. I też szybko o tym zapomniałem. Dziecko daleko szybciej się chyba przyzwyczaja do nowych warunków.

Czy myślałem wtedy, że już zawsze będę tam żył? Chyba tak, chyba tak właśnie się o tym myślało. Że to już na zawsze. Czasami mówiło się o tym, że ktoś tam proponuje, że ułatwi nam powrót, ale ja nie traktowałem tego poważnie. Zdawałem sobie sprawę z ogromnej odległości. Przecież my tam jechaliśmy kilka tygodni. No i że Polski już tam nie ma, bo przecież wojna, Niemcy...

Nie pamiętam samego momentu wybuchu wojny radziecko-niemieckiej. Ale pamiętam straszliwy płacz ludzi, których bliscy odchodzili do wojska. Płacz, żon, matek i dzieci. I straszliwą rozpacz żony jednego Rosjanina, która właśnie dostała wiadomość, że on zginął na froncie. Przychodziła potem do nas i mówiła: "Wam to lekko, bo wy wierzycie w Boga, a my nie." I chciała się dowiedzieć w co my właściwie wierzymy. "Powiedzcie, to może będzie mi lżej."

Moja znajomość z Łońcią Kosobokowem też się zaczęła od tego, że on zobaczył, że mam medalik i zaczął mnie na ten temat wypytywać. "Wierzysz w Boga? A kto to jest ten Bóg?" I ja, mając te moje jedenaście lat, usiłowałem go katechizować. Opowiadałem mu o życiu Chrystusa i on się strasznie dziwił dlaczego Pan Jezus dał się ukrzyżować. Pamiętam swoje łamańce, jak mu to wszystko wytłumaczyć. Przez kilka dni rozmawialiśmy na ten temat i zajmowałem się nawracaniem Łońci Kosobokowa na chrystianizm.

Wiara, wspólne modlitwy to była, także dla nas dzieci, bardzo ważna sprawa. Dużo ważniejsza niż przedtem w kraju. To była kotwica, której się trzymaliśmy. Co wieczór wszyscy w chacie wspólnie, głośno się modliliśmy. To zastępowało nam chodzenie do kościoła i lekcje religii. Matka poza tym nie miała czasu by nas wychowywać religijnie. Pracowała od świtu do nocy i całą swą energię skupiała na tym, by nas jakoś wyżywić i odziać. Więc kiedy miała z nami rozmawiać?

Najtrudniejszy był dla mnie końcowy okres pobytu w ZSRR - Wrewojskoje, szkoła junaków. Moja matka zapisała się do PWSK, do tak zwanych "pestek", a my z bratem poszliśmy do junackiej szkoły kadetów. Po raz pierwszy więc rozłączyłem się z matką. Brat był starszy, miał jakieś zajęcia, a nami się po prostu nikt nie zajmował. To było poczucie całkowitej anonimowości w ogromnym tłumie dzieci. Nie pamiętam żadnego naszego dowódcy. Wszyscy łączyliśmy się jak kto chciał. Nasz barak był naprzeciw szpitalnego i tam ci junacy

marli jak muchy. Widziałem jak codziennie wywożono ich ciała drabiniastym wozem. To było chyba moje najcięższe przeżycie z zesłania.

Chociaż jeśli chodzi o jedzenie to wypowiedziałem wtedy jedno życzenie, że chciałbym tak jeść do końca życia. Dostawaliśmy tam kawałek gliniastego chleba, jakieś 150-200 gramów, robiliśmy w nim łyżką dołek i tam się wsypywało dwie łyżki cukru. To była nasza dzienna porcja. I ja się modliłem: "Panie Boże, daj, żeby mi tego kawałka chleba i dwóch łyżek chleba nigdy w życiu nie zabrakło." Taki to był raj.

My przez całe zesłanie ani razu nie jedliśmy cukru, ani żadnej jego namiastki. Wygrzebywało się z ziemi korzeń lukrecji i to się ssało, ale to była obrzydliwa słodycz.

Kiedy przyjechaliśmy do tej szkoły junaków skierowano nas do baraku, a tam miejsce do spania było już tylko między pryzkami, na klepisku. Dostaliśmy dwa koce, na jednym się leżało, a drugim przykrywało. Ale jak się leżało na tym klepisku to było widać gwiazdy. Więc jak padał deszcz to się spało w błocie. A tuż obok przez cały czas umierali ludzie. Tam była epidemia tyfusu. I ja po prostu "pękłem", nie wytrzymałem tego i postanowiłem uciec. Mimo, że dowódca, który jak się okazało był kolegą mojego ojca, namawiał mnie do zostania, obiecywał mundur, nie zgodziłem się i po kilkutygodniowym tam pobycie wróciłem do matki. Niedługo potem wyjechaliśmy z ZSRR już jako cywile. Bo matka też się musiała zdemobilizować ze względu na moją niechęć do wojska.

A mój brat Władek z junackiej szkoły kadetów, po małej maturze, mając lat osiemnaście. poszedł do skróconej podchorążówki saperów. Przeszedł całą kampanię włoską, walczył pod Bolonią, pod Monte-Cassino (dostał za tę bitwę Krzyż Walecznych) i po zakończeniu działań wojennych przygotowywał się do matury w szkole wojskowej. Wyjechał z Włoch do Anglii i tam zmarł w 1946 roku, mając dwadzieścia lat. Ostatni raz widzieliśmy się w 1942 roku w Teheranie.

Wracając do tej szkoły junaków, tam sytuacja była taka, że jak przyjechał Anders, nie chcieli go zmartwić naszym wyglądem, więc pod pozorem ćwiczeń wygnali nas w pole. Był z nami oficer, który wypchnął nas nad jakąś rzeczkę i w pewnym momencie zakomenderował: "Chłopaki rozejść się, usiądźcie sobie tu i siedźcie." Oni nie wiedzieli co z nami zrobić, nie mieli żadnych możliwości, żeby się zająć tą masą dzieci, wśród których było mnóstwo wynędzniałych sierot.

Do kraju wróciliśmy w 1947 roku, akurat na proces ojca. Ja miałem już wtedy 18 lat. Prosto z pociągu trafiliśmy na mowę prokuratora, który domagał się dla ojca kary śmierci, z czterech paragrafów. Ludzie oganiali się od nas jak od zapowietrzonych.

O procesie ojca dowiedzieliśmy się w Ugandzie z pisma "Polak w Afryce" i zaraz zgłosiliśmy się do pierwszego transportu, który wracał do Polski.

Przez miesiąc czekaliśmy w Bombassie, aż jakiś statek popłynie do Europy. Potem płynęliśmy kilkanaście dni do Genui, a stamtąd pociągiem do Polski. Pierwsza stacja w kraju to były Zebrzydowice. Tam był taki niemiły dla nas moment, bo akurat wracała skądś, czy wyjeżdżała ekipa sportowców. Pamiętam ciemną stację i gdy ten pociąg z grupą młodzieży przyjechał, stacja nagle rozżarzyła się światłami, a przez głośniki poszły "Czerwone maki pod Monte-Cassino" i pary zaczęły tańczyć na peronie. Rozplakaliśmy się wtedy.